Nr. 22. Sobota, dnia 27-go maja 1916

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę piątą po Wielkanocy.

LEKCYA

z listu św. Jakóba rozdział I, wiersz 22—27.

Najmilsi! Bądźcie czynicielami słowa, a nie słuchaczami tylko, oszukiwającymi samych siebie. Bo jeśli kto jest słuchaczem słowa, a nie czynicielem, ten podobny będzie mężowi przypatrującemu się obliczu narodzenia swego we zwierciadle, bo się obejrzał i odszedł i wnet zapomniał, jakowy był. Lecz ktoby pilniej wejrzał w zakon doskonałej wolności i wytrwał w nim, nie stawszy się słuchaczem zapamiętliwym, ale czynicielem uczynku: ten błogosławiony będzie w sprawie swojej. A jeśli kto mniema, że jest nabożnym, powściągając języka swego, ale zawodząc serce swe: tego nabożeństwo próżne jest. Nabożeństwo czyste i niepokalane u Boga i Ojca to jest: nawiedzać sieroty i wdowy w ucisku ich, a siebie zachować niezmazanym od tego świata.

EWANGELIA

u św. Jana rozdział XVI, wiersz 23—30.

Onego czasu rzekł Jezus do uczniów Swoich: Zaprawdę, zaprawdę wam powiadam: Jeśli o co prosić będziecie Ojca w imię Moje, da wam. Dotychczas o niceście nie prosili w imię Moje. Proście, a weźmiecie, aby radość wasza była pełna. Tom wam powiadał przez przypowieści. Przychodzi godzina, gdy już nie przez przypowieści mówić wam będę, ale jawnie o Ojcu oznajmię wam. W on dzień w imię Moje prosić będziecie. I nie mówię wam, iż Ja będę Ojca prosił za wami. Albowiem sam Ojciec miłuje was, żeście wy Mnie umiłowali i uwierzyliście, żem Ja od Boga wyszedł. Wyszedłem od Ojca, a przyszedłem na świat; zaś opuszczam świat, a idę do Ojca. Rzekli Mu uczniowie Jego: Oto teraz jawnie mówisz, a żadnej przypowieści nie powiadasz. Teraz wiemy, że wszystko wiesz, a nie potrzebać, żeby Cię kto pytał. Dla tego wierzymy, żeś od Boga wyszedł.

NAUKA.

Wielka i święta to obietnica w dzisiejszej Ewangelii świętej: „Jeśli o co prosić będziecie Ojca w imię Moje, da wam!". Ale cóż z tego, kiedy mało kto ją rozumie jak należy, a mniej jeszcze jest takich, którzyby z niej korzystali należycie. Starajmyż się najprzód zrozumieć, co to znaczy prosić, a następnie, co to jest prosić w imię Pana Jezusa.

Ktokolwiek prosi naprawdę, a nie pozornie, dla ceremonii tylko, ten koniecznie nietylko 1) pragnie, i to gorąco pragnie tego, o co prosi i 2) czuje, że o własnych siłach, bez obcej pomocy, albo wcale nie, albo przynajmniej z trudnością tylko otrzymać to może, ale też 3) ma zaufanie do tego, kogo prosi, że ten, i może, i chce mu dopomódz, i rzeczywiście też dopomoże. Te są najistotniejsze warunki każdej prośby, a więc i modlitwy, o ile ona jest prośbą. Zastanówże się, czy modlitwy twoje bywają prawdziwie prośbami?

Powinniśmy szczerze pragnąć tego, o co prosimy. Tyle razy już powtarzałeś w pacierzu: „święć się Imię Twoje", ale czyż pragniesz tego naprawdę? Czy dbasz o to choć trochę, żeby ludzie o Panu Bogu więcej i coraz więcej wiedzieli i coraz więcej Go sobie cenili? Ty, co sam w tej mierze nic nie postępujesz, albo ty, który tak bardzo dbasz o to, żeby ludzie mieli o twojej przedewszystkiem osobie zaszczytne, o ile możności pojęcie? Tyleś razy powtarzał już „bądź wola Twoja", ale czy ty rzeczywiście tego pragniesz, żeby z tobą i przez ciebie działo się wszystko przedewszystkiem tak, jak to się Panu Bogu podoba? Ty, co poczytujesz za szczyt szczęścia to, żeby ci się wszystko udawało według myśli i upodobania twojego? Jedynie gdy chodzi o rzeczy doczesne, jak np. o zdrowie dla siebie i swoich, o szczęśliwe pokierowanie jakiego ważnego interesu, o uchronienie się od jakiej straty lub niebezpieczeństwa — w takich wypadkach nietylko gorąco, ale nawet gorączkowo pragniemy tego, o co prosimy. W takich też wypadkach doskonale rozumiemy, że potrzeba i z swojej strony robić co można, jeśli prośba nasza ma być skuteczną. Obyśmy i w innych rzeczach, mianowicie duchowych, np. kiedy chodzi o pozbycie się jakiego grzesznego nałogu, o nabycie jakiej cnoty lub o odprawienie dobrej spowiedzi, chcieli tak samo jak w rzeczach doczesnych zrozumieć, że świętą jest prawdą, co mówi przysłowie: „niech każdy robi, co może, a Bóg mu dopomoże", a inne przysłowie: „módl się a pracuj". Święty Ignacy myśl zawartą w tych przysłowiach w ten sposób wyraża: „Tak rób, cokolwiek w twojej jest mocy, jakbyś był przekonany, że wyłącznie od ciebie zależy otrzymanie tego, czego pragniesz — ale też tak się módl, jak się modli ten, który wie i wierzy, że jego zabiegi nic, zaś łaska Boża wszystko znaczy."

Żeby szczerze prosić, potrzeba mieć tę świadomość, że o własnych siłach wcale nic, albo przynajmniej bez wielkich trudności nie potrafimy otrzymać tego, czego pragniemy. Ta świadomość sprawia, że modlitwa staje się pokorną, pokora zaś przebija niebiosa, czyli jak mówi pismo święte: „Bóg pysznym się sprzeciwia, a pokornym łaskę dawa". Czyż modlitwy i prośby twoje są pokorne? Poznać to możesz po dwóch znakach; najprzód z tego, jakie twoje jest usposobienie, kiedy Pan Bóg zwleka i nie zaraz cię wysłuchuje; a powtóre z tego, jak się zachowujesz, kiedy Pan Bóg zwleka i nie zaraz cię wysłuchuje; objaśnię ci to przykładem. Kiedyś kwestarz zaszedł po prośbie do osoby bogatej i znanej z hojności, ale trafił w złą chwilę, więc kiedy wypowiedział swoją prośbę, pani ta nietylko nic mu nie dała, ale jeszcze poczęła się gniewać na niego i ła-

ać. Kwestarz spokojnie wysłuchał łajania, a kiedy ona już skończyła, odezwał się: „Racz mi pani pozwolić, że zrobię jedną uwagę; mnie wolno prosić albo nie prosić, to moje jest prawo, ale gniewać się na tych, którzy mi nic nie dają, to mi nie wolno, ani nie mam do tego prawa; tak samo tym, których proszę, wolno dać, albo nie dać, ale gniewać się na tych, którzy ich proszą, to im nie wolno i prawa do tego żadnego nie mają.” Otóż Pan Bóg ma wszelkie prawo dać, albo nie dać ci tego, o co prosisz, ale ani nie myśli gniewać się o to, że Mu się naprzykrzamy; skądże ty masz prawo gniewać i kwasić się, kiedy Pan Bóg cię nie wysłuchuje? Chyba, że uważasz siebie za pana, a Pana Boga za sługę swego; bo w takim razie miałbyś racyę domagać się, że skoro pan każe, sługa musi, ale to byłaby już pycha niepojęta i niebywała; albo mniemasz o sobie, żeś Panu Bogu tak miłym, i że tak doskonale się modlisz, że ci Pan Bóg niczego odmówić nie powinien, to zaś byłoby zarozumiałością prawdziwą, którąby sama jedna czyniła ciebie niegodnym miłości i łaski Bożej. Jeżeliś pokornym, a Pan Bóg nie zaraz cię wysłuchuje, to zamiast kwasić się, powiesz sobie, żeś niegodzin być wysłuchanym, boś i ty Pana Boga nie słuchał i poczniesz się poprawiać — że modlitwa twoja była lichą i będziesz staranniej się modlił — żeś za mało się modlił i zdobędziesz się na wytrwałość w modlitwie.

Potrzeba prosić z ufnością i zaufaniem do Pana Boga. Czy masz ty tyle przynajmniej zaufania do Pana Boga, co dzieci miewają do matki swojej? Dziecko w każdem niebezpieczeństwie, w każdej potrzebie, z każdą boleścią swoją ucieka się przedewszystkiem do matki; bo w prostocie swojej wierzy, że matka od wszystkiego zasłonić, wszystkiemu zaradzić potrafi i że chętnie też i dobrze zaradzi. Nieraz biedne dziecko w tem zaufaniu się zawodzi, bo matka mimo najlepszej chęci swojej tak mało, bardzo mało może — a bywają niestety i takie matki, które dbają tylko o siebie i swoje wygody i zachcianki, tak że już i dla dzieci własnych nie mają serca, ani poświęcenia. Biedneć to matki i biedne ich dzieci. Pan Bóg nikogo nie zawodzi, bo jest wierny, wszechmocny i miłosierny. Ale jakżeż masz ufać w Bogu, kiedy Go prawie nie znasz, a może nawet i wiedzieć o Nim wiele nie chcesz? Jakże zaufać w Bogu takiemu, któremu się zdaje, jakoby ten Pan Bóg nasz gdzieś był daleko za światem, a nie blisko nas — albo jakoby nie troszczył się i nie dbał o nas ludzi i o to, co z nami i w sercach naszych się dzieje, On, bez którego wiedzy i woli, ani włos nawet nie spadnie nam z głowy!

Prosić mamy Ojca w Imię [illegible] Jezusa. Cóż to znaczy? Opowiadają Dzieje Apostolskie, że „kusili się niektórzy z żydów zaklinaczów wzywać nad opętanymi Imienia Pana Jezusa mówiąc: Poprzysięgam was przez Jezusa, którego Paweł opowiada. A odpowiedziawszy duch zły, rzekł im: Znam Jezusa i wiem Pawła, ale wy coście zacz-? I wskoczywszy na nie człowiek, w którym był duch zły, zmocnił się przeciwko im tak, iż nago i zranieni uciekali z domu onego.” O Apostołach zaś w tem samem Piśmie św. czytamy, że oni w Imię Pana Jezusa nietylko czarty wyganiali, ale i chorych uzdrawiali, umarłych wskrzeszali i wszelkie po ludzku mówiąc niemożliwe rzeczy otrzymywali. Tamci używali Imienia Jezusowego jakby zabobonnego, czarodziejskiego zaklęcia i dla chwały i zysku swojego osobistego; Apostołowie zaś naprawdę wierzyli w Pana Jezusa i dawali tego ciągłe dowody słowem i życiem swojem całem, i pełni tej wiary wzywali Imienia Jezusowego, szukając nie swojej, lecz Jego chwały, nie swojego, lecz bliźnich swoich pożytku. Bywają ludzie, co i uchodzą za katolików, i sami za takich się mają i z tego powodu mają nawet pretensye, żeby ich miano za coś lepszego od innych, choć nic nie są lepsi od wielu żydów, heretyków i pogan; mają też pretensyę, żeby im się dobrze wiodło, choć na to ani pracą, ani oszczędnością, ani niczem nie zasługują. Tacy chociażby Najświętsze Imię Jezusowe powtarzali ustawicznie, to przecież jeszcze nie proszą Ojca w Imię Pana Jezusa. Do takich stosuje się ono słowo Pisma świętego: „Jeśliż tylko w tym żywocie, w Chrystusie nadzieję mamy, jesteśmy nędzniejsi, niźli wszyscy ludzie.” Rozważ to wszystko, nadto przypomnij ono słowo Pańskie: „Szukajcież najprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a to wszystko będzie wam przydano”, a za łaską Bożą lepiej zrozumiesz, co to znaczy prosić Ojca w Imię Jezusowe, niż gdybym ja ci to dłużej jeszcze wykładał.

X. J.

SPEŁNIONE ŻYCZENIA.

Nie było we wsi chłopaka drugiego takiego, jak Bartek; ładny, poczciwy, roztropny — pociecha i nadzieja rodziców, którzy też — zwyczajnie, jak rodzice — marzyli, że Pan Bóg wie, co jeszcze z jedynaka wyrośnie.

Ale spytać się go było samego, to powiadał, że niczem innem nie będzie, tylko kowalem, ale takim jak tato, co to i konia się nie bał, żeby jaki był bystry, ani młota, choćby jak ciężkiego, ani ognia, choćby jak gorącego.

Za kowala domostwem niedaleko zaczynał się las. Bartek każdą w nim ścieżkę znał. Zdarzyło się raz, że nadreptawszy się w lesie dosyć i naschylawszy się za poziomkami, usiadł sobie pod starym bukiem, aby spocząć trochę. Przed nim otwierała się szeroka polana, gąszczem krzaków zarosła, z których tu i ówdzie wystrzelał młody dębczak, brzóska lub sosenka. Słońce zbliżało się do zachodu i złotem oblewało świeżą zieleń. Taka w powietrzu była cisza, że nie poruszył się i liść żaden. Tylko ptaszki odzywały się, a Bartek patrzał i słuchał.

— To dzwoniec, a to wilga! To dzięcioł!

Wtem niedaleko ujrzał jakąś obcą staruszkę, mozolnie o kiju idącą wśród gąszczu. Zgarbiona we dwoje, ubrana w powłóczystą szarą suknię, dźwigała kobiałkę z wszelakiego rodzaju zielskiem. Naraz coś ją zatrzymało: to suknia zaczepiła się o pręt ożyny. Wzrok jej padł na siedzącego chłopaka, ale jeszcze nie zdążyła ochrypłym głosem dokończyć wezwania, by jej pomógł, a Bartek, zawsze usłużny, już poskoczył i odplątał zadzierzystą gałąź. Baba zaś do niego:

— Przysługa niewielka, sowita zapłata; czego zapragniesz, mów, a ja spełnię; tylko roztropnie, byś nie żałował.

Chłopiec, niewiele się namyślając, odpowiada, że chciałby dużym być i mocnym, jak ojciec. Jeszcze tylko widział, jak baba kij podniosła i jakieś ruchy nad jego głową robić zaczęła, słyszał, że jakieś wyrazy wymawiała niezrozumiałe, potem coś go zamroczyło. A gdy znów przyszedł do siebie i przetarł oczy — patrzy: zmierzch go otacza, on siedzi

oparty o buk, a nogi dalekie jakieś od niego i duże, choć to własne nogi jego, a na miejscu polany spory las, a przez gęste gałęzie słońce zachodzące strzela czerwonemi światłami.

Wstał — jakby na pniaku stanął lub na stołku. Nieswojsko mu było. »Do mamy!« pomyślał i poszedł... ale wolno.

Wychodzi wreszcie z lasu, a tu inny jakiś dom stoi, nowszy, okazalszy na miejscu ojcowego i kuźnia inna. Przychodzi na podwórze coraz nieśmielej — obcy ludzie na niego patrzą, zdziwieni i jakby pytający, co on zacz.

Co tu długo mówić! Dowiedział się od gospodyni, że kowal, co tu dawniej siedział, latami z żoną za zbłąkanym synem szukali po całej okolicy, że stary w rzemieśle się zaniedbał z żalu, aż pożar kuźnię i domostwo całe zniszczył, że przy gaszeniu nabawił się choroby i niebawem umarł...

— A matka? — pyta Bartek.

Domyśliła się młoda kowalowa już przedtem, że z Janowym synem mówił, a gdy przyznał się teraz wyraźnie, że to on jest Bartek, żal się jej większy jeszcze zrobił i zaprosiła go, aby u nich zamieszkał — mąż, gdy nadejdzie, z pewnością zezwoli — i żeby zaczekał, aż wróci jego matka, bo po śmierci ojca wybrała się w świat — szukać syna.

O zostaniu Bartek ani słyszeć nie chciał. Zapytał tylko, w którą stronę poszła matka, pożegnał się krótko i poszedł.

* * *

Szedł i pytał. Aż wreszcie zaszedł do samotnego na polu dworku. W bramie stał dziwny jakiś człowiek. Czarne miał włosy, czarne pod krzaczystemi brwiami oczy, czarną brodę po piersi i czarną odzież. A patrzał na Bartka, jakby wiedział, że przyjdzie i jakby umyślnie na niego tu czekał.

— Służby szukasz? — spytał.

— Nie służby szukam, tylko matki. Tyle a tyle lat temu mogła przejść tędy. Wyglądała tak a tak i szukała zbłąkanego syna.

— Ani jej nie znam — odrzecze czarny — anim nie widział. Posłuż rok u mnie, to ją zobaczysz, chyba, że zmarła.

Nie było nad czem się namyślać. Bartek stanął do służby.

A nie była to lekka służba. Czarny człowiek zaprowadził go do stajni, gdzie stała trójka czarnych koni, przykutych każdy czterema łańcuchami żelaznymi do żelaznych słupów. Bo nie stać im było na ziemi, tylko wichrem gnać po powietrzu. Czarny człowiek co noc je zaprzęgać kazał do żelaznego rydwana, w którym następnie wzbijał się nad chmury i pędził światami. Za dnia miał ich Bartek doglądać, karmić i poić. A one gryzły żelazne żłoby i łańcuchy, zrywały się i wierzgały.

Każde ukąszenie — śmierć, każde kopnięcie — śmierć! Nie zważał na to Bartek, tylko obsługiwał potwory wiernie i liczył dnie. Aż się doliczył. Czarny człowiek po roku powiada do niego:

— Minął twój czas. Oto, com przyrzekł — i podał mu małe, żelazne zwierciadło. — Gdziekolwiek on jest, ktokolwiek on jest, gdy go zawołasz, okazać się musi, chyba, że nieżyw.

Nie takiego spełnienia umowy spodziewał się Bartek, ale nic nie mówiąc, wybiegł i zawołał:

— Mamo! — i spojrzał w zwierciadełko. Zrazu w niem zakłębiły się chmury, potem się rozstąpiły i okazała się droga, a drogą szła matka zmieniona, stara, pochylona. Kogo spotkała, zatrzymywała, widocznie pytając; przy wrotach zagród stawała, przy drzwiach domów.

A ludzie tylko głowami wstrząsali pomału.

— Żyje, muszę ją znaleźć! — pomyślał Bartek i poszedł dalej.

* * *

Aż jednego dnia, gdy szedł drogą, przez bór stary wiodącą, patrzy — a tu dom stoi samotny. W bramie stał człowiek w siwem ubraniu, o siwym włosie, z siwą do pasa brodą i z pod krzaczystych siwych brwi patrzył takiemi oczyma na Bartka, jakby czekał na jego przyjście.

— Służby szukasz? — zagadnął. Bartek na to:

— Nie służby szukam, tylko matki.

I opisał staruszkę, jak ją widział w zwierciadle czarodziejskiem. A siwy człowiek na to odpowie:

— Ani jej nie znam, anim jej nie widział; służ mi dwa lata, to ją usłyszysz, chyba, że zmarła.

Przystał Bartek do służby. A nie była ona lekka. Bo zaprowadził go siwy człowiek do podziemnego chodnika i ciężkim młotem kazał skały odwalać, aby wykuć drogę do wnętrza ziemi, gdzie wiedział, że rubin rośnie, którego blask, jak drugie słońce, czarną noc zamienia w jasny dzień. Pracował Bartek ciężko. Nieraz zdawało mu się, iż ramiona ze stawów mu się wyłamią. I dnia nie widział przez dwa lata, aż człowiek siwy raz stanął przed nim i powiada:

— Minął twój czas.

I dał mu skorupkę z ślimaka.

— Oto, com przyrzekł: przytknij do ucha; kogo zawołasz, gdziekolwiek był, głos jego usłyszysz, chyba, że nieżyw.

Wybiegł Bartek na drogę, wyjął zwierciadło, przyłożył skorupkę do ucha, zawołał. Naprzód usłyszał jakby grzmot oddalony, a potem matki głos:

— Czyście ludzie mego Bartka nie widzieli? Wielki już musi być, matkę i ojca porzucił; nie porzucił, tylko go porwali. Zlitujcie się, oddajcie mi go, tylko mi powiedźcie, że zdrów, a gdy nie zechce wrócić do matki, niech nie wraca, tylko widzieć go chcę raz, tylko wiedzieć, że mu dobrze.

Nie chciał Bartek słuchać dalej. Schował skorupkę i zwierciadełko, zacisnął zęby i pomyślał:

— Żyje, znaleźć ją muszę, choćbym nogi po kolana miał schodzić, choćbym ręce po łokcie miał spracować!

I poszedł drogą.

* * *

Aż zaszedł w góry między głazy, na których i drobna trawka nie rosła, ani mech nawet. Patrzy, stoi przed białym marmurowym pałacem starzec w białem, jak śnieg, ubraniu, z brodą po kolana i z pod zwisających białych brwi czerwonemi oczyma patrzy na niego, jakby go wyglądał już od dawna:

— Służby szukasz? — powiada.

A Bartek na to:

— Będę wam służył. Każcie mi robić, co chcecie, tylko mi do matki wskażcie drogę.

A starzec znowu:

— Ani jej nie znam, anim nie widział. Służ mi trzy lata, a głos twój posłyszy, chyba, że zmarła.

Nie była lekka służba, do której zgodził się Bartek. Dniem i nocą miał palić pod siedmioma ko-

tłami, stojąc pośrodku. W każdym kotle gotowały się inne gady i zioła i kamienie, a war jadowity kipiał i pryskał, a Bartkowi ciało do kości oparzał.

— Pryskaj, licho! — mówił Bartek przez zęby i kładł klody pod kotły i uwijał się wśród płomieni, jak potępieniec w piekle.

A miała z tego waru być kąpiel dla starca, w której chciał się odmłodzić znów na sto lat.

Zawołał wreszcie biały człowiek na Bartka:

— Minął twój czas! Oto, com przyrzekł — i dał mu mały róg i powiada: — Gdziekolwiek jest, ktokolwiek jest, zawołaj przez róg, głos twój usłyszy, chyba, że nieżyw.

Bartek przyskoczył, wyjął zwierciadełko i zawołał. Matka siedziała pod lipą na darni, otoczona dziećmi, które ciekawie a nieśmiało patrzyły na ślepą babę; koło niej leżały dwa kije. Wyjął skorupkę i usłyszał, jak wypytywała dzieci, czy Bartka nie widziały, czy nie słyszały o nim. Ręką drżącą podniósł do ust rożek, przyłożył — i jakby piorun go przeszył. Zawołał wreszcie:

— Mamo, to ja, to Bartek!

Nic więcej z gardła wydobyć nie mógł. Tylko jeszcze widział, jak chude ręce wyciągnęła w stronę, skąd usłyszała głos syna, jak uśmiech szczęśliwy opromienił jej twarz, jak zatoczyła się i padła na murawę nieżywa.

* * *

Słońce zaszło, słońce wstało, a Bartek, jak usiadł bezwiednie na kamieniu przydrożnym, tak siedział. Wstał wreszcie, pozbierał czarodziejskie dary, leżące u jego nóg i poszedł. Dokąd? — o to nie dbał. Spotkał dwoje dzieci na drodze, dźwigających spory koszyk malin do spółki. Sięgnął w zanadrze, wyjął rożek, skorupkę i lusterko.

— Macie, dzieci, bawcie się!

Nie odpowiedział nic na ich »dziękuję« i poszedł dalej.

I szedł tak, sam nie wiedział, ile dni, czy tygodni, czy miesięcy, aż go coś tknęło. »Tu gdzieś kiedyś byłem! A to go w swoje strony zaniosło. »Niech i tak!« — i poszedł znanemi ścieżkami do lasu za kuźnią. Znalazł stary buk i siadł pod nim, jak za lat dawnych. Nachodził się dość i naschylał, był zmęczony. A w powietrzu taka była cisza, że i liść na drzewie nie zadrgnął. Z za gęstych koron żarzyło się parę płatków czerwonego nieba wieczornego. Tu i ówdzie dzwoniec się odzywał, dzięcioł zastukał. Zdala słychać było uderzenia młotów kowalskich. I sam nie wiedział, jak mu z piersi wydarły się słowa: »Wiedźmo przeklęta, matkę mi oddaj, ojca, lata dziecięce!

Wtem zrobiło mu się mroczno. Tylko jeszcze widział przed sobą kobietę starą w szarem ubraniu; w lewej ręce trzymała kobiałkę z różnorakiem zielem, w prawej kij i jakieś nim znaki robiła nad jego głową. Wymawiała przytem wyrazy jakieś; zrozumiał tylko ostatnie:

— Czemuś nie przyszedł prędzej?

I przeciera oczy, patrzy, nad nim stoi nachylona matka. Jak się nie zerwie, jak się jej szyi nie uczepi! Ledwie się podniosła i śmiejąc się, mówi:

— Puść, bo udusisz mamę!

A on wisi u jej szyi, nogi jego ziemi nie dostają szczepe:

— Matusiu, ja nie chcę szybko rość, tylko całkiem powolutku.

— A któż ci, głuptasku, szybko każe rosnąć? Ale teraz śpieszmy do domu, bo ojciec, głodny po robocie, na wieczerzę czeka.

I poszli do domu, a prędko.

Emil Petzold.

TO I OWO.

NA ŚMIERĆ.

Słońce podniosło się wysoko i promienie jego, przecedzone przez purpurowe velarium, napełniły amfiteatr krwawem światłem. Piasek przybrał barwę ognistą, a w tych blaskach, w twarzach niezliczonego tłumu widzów, zarówno jak i w pustce areny, która za chwilę zapełni się męką ludzką i zwierzęcą wściekłością, drga coś strasznego. Zda się, iż w powietrzu unosi się groza i śmierć. Tłum, zwykle wesoły, zaciął się pod wpływem nienawiści w milczeniu. Twarze mają wyraz zawzięty.

Prefekt dał znak, starzec, przebrany za Charona, przeszedł wolnym krokiem przez całą arenę, wśród głuchej ciszy i zastukał trzykrotnie młotem we drzwi. W całym amfiteatrze odezwał się pomruk:

— Chrześcianie! Chrześcianie!

Zgrzytnęły kraty żelazne, rozległy się zwykłe krzyki mastyfogorów: »Na piasek!« i w jednej chwili arena zapełniła się gromadami chrześcian. Wszyscy biegli prędko nieco, gorączkowo, a wypadłszy na środek koliska, klękali jedni przy drugich, z wzniesionemi w górę rękoma. Lud sądził, że to prośba o litość i rozwścieczony takiem tchórzostwem, począł tupać, gwizdać, rzucać próżnemi naczyniami od wina i ryczeć:

— Lwów na chrześcian!

Lecz nagle stało się coś niespodziewanego: z ust chrześcian rozbrzmiała pieśń poważna, dziwnie słodka:

Christus regnat!

Śpiewali ci skazańcy z oczyma wzniesionemi ku velarium. Widziano twarze pobladłe i jakby natchnione. Wszyscy zrozumieli, że ludzie ci nie proszą o litość i że zdają się nie widzieć ni cyrku, ni ludu, ani senatu.

A z kunikulów wypychano coraz nowe ofiary. Ostatnia szła na śmierć dziewica przedziwnie piękna, postaci tak wspaniałej i majestatycznej, że brutalni żołdacy rozstępowali się przed nią ze czcią, nie śmiąc miotać zwykłych szyderstw i urągań. Szła powoli, twarz miała pogodną, oczy płonące blaskiem nieziemskiem. Gdy wstępowała na arenę, przypadł do jej stóp nieznany jakiś człowiek i zawołał ze łkaniem:

— Jam jest, który cię wydałem na śmierć! Przebacz mi i pobłogosław, bo widzę teraz, żeś w łasce u bogów..

Ona zaś wzniosa dłoń nad jego głową, mówiąc:

— W imię Pana Zbawiciela Jezusa, przebaczam ci winy, a iżbyś więcej nie grzeszył, oczyść duszę twoją przez wiarę w prawdziwego Boga..

Skruszony łotr z uniesieniem wykrzyknął:

— Wierzę w twego Boga! Potężnym On być musi, skoro wyznawcom swoim siłę dawa do przyjęcia śmierci okrutnej z rozkoszą.

I wszedł wraz z dziewczyną na arenę, na której za chwilę lwy zgłodniałe szarpały ciała wyznawców Ukrzyżowanego.